

**Andrzej Zimniak „Gawędy
fandomowe” cz. 5 - Jak Pyrkon ocalił
mi życie**

Andrzej Zimniak „Gawędy fandomowe” cz. 5 - Jak Pyrkon ocalił mi życie

Fandomową przygodę z Poznaniem zacząłem w 1999 roku, kiedy to zostałem zaproszony na „Dzień z Fantastyką”. Jak sama nazwa wskazuje, była to jednodniowa przymiarka miejscowej grupy fanów do zorganizowania pełnoskalowego konwentu – zaczynali ostrożnie, ćwicząc rozbieg. Można było przenocować, organizatorzy zapewniali hotel, ale ja zaraz po wygłoszeniu referatu i zakończeniu spotkania poprosiłem o odwiezienie na dworzec, ponieważ impreza była już zamknięta. Przypominam sobie, że w tym mini-konwencie uczestniczył także profesor Antoni Smuszkiewicz. Wrażenie pozostało dobre, więc z przyjemnością przyjąłem zaproszenie za rok.

W 2000 roku odbył się pierwszy prawdziwy Pyrkon, zlokalizowany nie w Domu Kultury w pobliżu centrum, jak rok wcześniej „Dzień z Fantastyką”, lecz w budynku szkoły przy ulicy Łozowej. Było to straszne zadupie, jechało się samochodem z pół godziny, ale za to konwent mógł przyjąć wielu uczestników, no i nic nie kusiło do wychodzenia, bo wokół stały same smutne i szare bloki mieszkalne. Sporym minusem było to, że właściwie brakowało miejsca na życie kulturalne, więc napój konwentowy kupowało się w sklepie i pociągało go na podwórku szkoły, a dyskusje odbywały się albo w korytarzach, albo w pokojach noclegowych (głównie). Ale dawaliśmy radę.

W okresie kilkunastu następnych lat uczestniczyłem w jedenastu Pyrkonach, jak wynika z moich zapisków. Wygłosiłem mnóstwo referatów i wziąłem udział w wielu dyskusjach panelowych, odbyłem też kilka spotkań autorskich. I na Pyrkonach, i na innych konwentach zawsze najchętniej wygłaszałem referaty popularnonaukowe, zwykle z domieszką futurologii i prognozowania, czasem nawet brykając nieco poza brzytwą Ockhama. Czyli od fantastyki nie stroniłem, choć, jak zwykle przy moim sposobie popularyzacji nauki, własne fantastyczne wizje oddzielałem wyraźną linią od oficjalnego stanowiska nauki i pragmatycznego prognozowania. Co ciekawe, moje wystąpienia popularnonaukowe miały z reguły znacznie większą frekwencję od innych realizowanych przeze mnie spotkań. Jak sądzę, świadczy to o dużym społecznym zapotrzebowaniu na naukę, pod warunkiem że jest przedstawiana rzetelnie, poważnie i przystępnie. A oto przykłady tytułów moich pyrkonowych wystąpień: "Prognozy rozwoju i upadku fantastyki", "Polska pod lodem", "Seks, miłość i ewolucja". W 2005 roku Pyrkon się nie odbył, za to wspólnymi siłami zorganizowano Polcon w Błażejewku, gdzie wygłosiłem referat "Rozmyślania nad ćwiartką, czyli jubileusz 25-lecia pracy pisarskiej". Dobre to było miejsce także na poważne refleksje.

Spośród poznańskich organizatorów zapamiętałem tylko kilka osób. Piotr Derkacz widoczny był na każdej imprezie, także na konwentach poza Poznaniem, Marcina Bronharda pamiętam raczej tylko z Pyrkonów. W grupie witającej na dworcu i realizującej transport pojawiała się przemiła dziewczyna niewielkiego wzrostu i o buzi dziecka, która przy zakupie piwa z pewnością musiała okazywać dowód osobisty. Nigdy nie poznałem jej nazwiska, podobnie incognito pozostała dla mnie żurnalowa piękność o dość wyzywającej urodzie, pokazująca się także poza Pyrkonami, ale obie dziewczyny mają osobiste i nieusuwalne zakładki w mojej pamięci.

Chyba na zawsze zapamiętałem też taki casus. Pod koniec któregoś z Pyrkonów wpadłem tuż przed wyjazdem do siedziby konwentu, żeby się pożegnać. Przypadkiem napotkany na korytarzu kumpel wyciągnął na to piersiówkę i nalał mi solidnego strzemiennego. Poczułem się lekki i taki poszybowałem do green-roomu, gdzie procentowo podkrecona nostalgia przedwyjazdowa dała efekt chwilowej euforii. „Kocham was wszystkich, moi fandomici!”, zakrzyknąłem, rozkładając ręce, jakbym chciał objąć wszystkich obecnych (być może użyłem nieco innych słów, ale sens był dokładnie taki). Działaczki, działacze, organizatorki i organizatorzy, jak również osoby towarzyszące, czyli wszyscy przebywający w pomieszczeniu, odwrócili się raptownie w moją stronę i trwali tak przez

sekundę, po czym spokojnie powrócili do uprzednio wykonywanych czynności, krzątając się pośród hałd ubrań i plecaków. Cóż, ja także zakrzętnąłem się koło swojego bagażu. Nie, nie poczułem się odrzucony, wcale nie! Poczułem się po prostu jak pisarz, który wykrzyczy swoje, i wciąż ma cię nadziei, że echo powróci do niego z czarnej dziury.



Tarcza Anioła Stróża osłoniła mnie kilka lat później, w trakcie mojego ostatniego Pyrkonu w 2015 roku. Był to już hiperkonwent, który zgromadził 32 tysiące gości, zlokalizowany na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich. Zostałem wtedy zaproszony przez wydawnictwo „Rebis” w związku z wydaniem powieści „Władcy świtu”, brałem udział w panelach, frekwencja gości na spotkaniach była szokująco duża i w ogóle było świetnie. Mieszkałem w hotelu w pobliżu jakiegoś targowiska, którego zaplecze dobrze było widać z mojego okna. Dystans do Hal Targowych był do pokonania piechotą, ale wygodniej było podjechać kilka przystanków tramwajem. Pech chciał, że pomyliły mi się numery i wsiadłem do niewłaściwego składu, który zamiast pojechać prosto, skręcił w lewo i gnał niezły kawał drogi, zanim udało mi się wysiąść. Mogłem poczekać na kurs w przeciwnym kierunku, ale uznałem, że szybciej ten jeden przystanek przejdę piechotą (a spieszyłem się na panel). Zawróciłem więc i ruszyłem żwawo wzdłuż szpaleru szarych, identycznie wyglądających bloków mieszkalnych.

Nie uszedłem jednak daleko. Niespodziewanie od wejścia do jednej z klatek schodowych oderwała się sylwetka mężczyzny o niewyróżniającej się fizjonomii i ów mężczyzna szybkim, sprężystym krokiem skierował się wprost na mnie. Byłem zaskoczony, ale wciąż nie przestraszony, choć powoli docierało do mnie, że nasze spotkanie raczej nie skończy się na powitalnych uściskach. Należy dodać, że ubrany byłem oficjalnie w garnitur, wszak jako autor i futurysta zdążyłem na panel. Ten ubiór stanowił zapewne dodatkowy katalizator dla działań blokera. Przemknęło mi przez głowę, że zawiodę organizatorów konwentu, a potem już nie myślałem nic. Ciekawe, że nawet nie rozważyłem możliwości ucieczki – swoje latka wtedy już miałem, to fakt, ale kiedyś byłem sprinterskim asem. I w tym momencie, kiedy już czułem obcy zapach potu i kwaśny oddech, Anioł Stróż cisnął mi tarczę, a oprycha walnął płazem w czerep. Intruz zauważył PLAKIETKĘ!

Rzucił głową i przewrócił oczami, po czym w miejscu zawrócił i oddalił się do swojej klatki schodowej równie szybkim krokiem, jakim się przed sekundą zbliżał. Poczułem nagły odpływ napięcia i jakby nigdy nic poszedłem dalej. Szczęśliwie obyło się bez dalszych przygód, na panel dotarłem o czasie i nawet nie byłem specjalnie zdenerwowany.

Do dziś zastanawiam się, jaki rodzaj magii wytworzyła plakietka? Agenci FBI plakietek nie noszą, nieumundurowana policja też chyba nie afiszuje się w ten sposób. Myślę, że plakietka informowała o przynależności do grupy, domyślnie konferencyjnej. Grupa może poszukiwać członka w razie jego niewyjaśnionej nieobecności. Policja też bardziej się przykłada, jeśli poszkodowany zostanie uczestnik konferencji, bo takie przypadki psują lokalny wizerunek. Tak czy inaczej, uratowała mnie PLAKIETKA. Pewnie działałaby równie dobrze, gdyby stała na niej cokolwiek, ale widniał PYRKON, i gdybym nie zdążył na PYRKON, nie miałbym przypiętej PLAKIETKI. Pyrkon, jeden z moich

ulubionych konwentów, uratował mi życie! A jeśli nie życie, to z pewnością zdrowie i sakiewkę.

A może ten gość chciał po prostu spytać, która godzina? Wszak wyglądałem na człowieka, który ma zegarek.

Andrzej Zimniak